

SZCZEPAN TWARDOCH

Cud domu brandenburskiego

Cztery wierzchowce galopowały polnym traktem. Bitą drogą prowadziła między polami, oddzielona od nich dwoma rzędami włoskich topoli. Jeźdźcy, dosiadający pięknych rumaków, odziani byli jak nakazywała ówczesna moda – nosili trójkątne kapelusze, surduty, obcisłe spodnie do konnej jazdy z wysokimi botfortami i obszerne płaszcze. Przy boku każdy miał szpadę, w olstrach tkwiły pistolety. Mimo że zapadał już wieczór, nie wstrzymywali koni, ryzykując potknięcie, które mogło skończyć się źle zarówno dla rumaka, jak i dla jeźdźca.

Droga dochodziła do sporego traktu, zaś po lewej stronie, w oddali, widać było most na Renie.

Pierwszy z jeźdźców zatrzymał się na rozstajach, zdjął długie rękawice i zsunął chustę, która zakrywała mu twarz, chroniąc przed pyłem. Na lewej dłoni nosił szlachecki sygnet, z herbowym rakiem – Warnia, polski herb śląskiej szlachty.

– Graf von Raczek! Was denken Sie? Wohin gehen wir jetzt? – zakrzyknął drugi, osadzając konia.

Hrabia von Raczek zeskoczył z konia i z juków wyjął skórzaną tubę. Odkręcił pokrywkę i delikatnie wyciągnął stary pergamin. Z pietyzmem rozłożył dokument na kamieniu, zza pazuchy wyjął busolę i zorientował mapę według stron świata, po czym zaczął ją studiować, porównując z krajobrazem.

– Graf von Raczek! Wir haben keine Zeit! Russische soldaten... – krzyknął ponownie drugi jeździec.

– Wir müssen den Ring finden! – warknął hrabia von Raczek.

Po chwili znalazł na mapie to, czego szukał, chował ją równie ostrożnie, wskoczył na siodło i z miejsca spał konia do galopu. Pojechali na przełaj, przecinając nadrzeczne łąki. W jednym miejscu łagodny brzeg Renu przechodził w niewielką i krótką skarpe. Nad nią tkwiła jasna, wapienna skała.

– Aus dem Pferd! – wydał komendę hrabia.

Wszyscy zeskoczyli z koni.

– Herzog von Soltz... – zaczął von Raczek.

Księżę skinął głową. Z worka przy siodle wydobył kilof. Ostrze wykonano ze srebra. Von Soltz zdjął płaszcz, surdut i kapelusz, pozostając tylko w koszuli i spodniach. Spojrzał po swoich towarzyszach. Skinęli głowami. Raczek wyjął z olster pistolety, podsypał prochu na panewki i odwiódł kurki, stając obok. Pozostali dwaj wyjęli z pochew swoje szpady i stanęli z drugiej strony.

Von Soltz przeżegnał się, kiedy kończył kreślić znak krzyża, hrabia pokręcił głową.

Księżę zamachnął się potężnie i uderzył srebrnym kilofem w białą skałę. Nic się nie stało – jedynie ostrze się wygięło. Księżę pytająco spojrzął na hrabiego. Von Raczek wzruszył ramionami.

– Hanys! Rzykołeś [modliłeś się] dzisiaj? – zapytał swego sługę po śląsku, gdyż innym językiem wierny Hanys nie władał.

– A kaj tam, Graf... Jo niy rzykom – odpowiedział tamten.

– A u spowiedzi żeś był?

– Ja, Graf, roz, za bajtla. Ale mie farorz po pysku szczaskali i już tam niy łaża.

- To do komunije tyż niy?
- Niy, Graf. A czamu pytajóm?
- Zawrzyj pysk i chytej tyn oskard! – krzyknął von Raczek.

Hanys wyrwał kilof z rąk zdziwionego księcia i uderzył w skałę. Ziemia zadrżała, skała zaś rozszczępiła się na dwoje. Szczelina, najpierw wąska, zaczęła się powoli rozszerzać, przy akompaniamencie przeraźliwego, jęczącego dźwięku. Nagle wszystko ucichło. Jaskinia stała otworem.

Von Soltz podniósł uprzednio zapaloną pochodnię i odważnie zrobił krok naprzód, za nim do groty wkroczył von Raczek. Płomienie oświetliły wnętrze. Skała kryła w sobie grootę wielkości sporego kościoła. Na podłodze, w skrzyniach, na stołach, wszędzie leżało złoto. Przeróżne monety, biżuteria, naczynia, wysadzone drogimi kamieniami korony, berła królewskie. Ogromny skarb, przewyższający wszystkie bogactwa Europy. Obaj jednak nie zwracali uwagi na kosztowności. Na środku stało łóże, z którego właśnie gramolił się karzeł, imponująco brodaty i pokryty tysiącletnim kurzem. Spojrzał zdziwiony na intruzów, podniósł rękę w powstrzymującym geście, wreszcie spróbował coś powiedzieć, jednak z zaszuszonego gardła wydobył się tylko charkot. Odchrząknął i sięgnął po beczułkę, stojącą u wezglowia. Nie zdążył jednak przepłukać gardła – Ślązak wycelował i strzelił dwukrotnie. Jedną kulą trafił w czoło, drugą zaś w pierś. Von Soltz doskoczył i dla pewności przebił karła szpadą.

– Ganz einfach – powiedział Raczek.

– Très bien. Dépechons nous maintenant! Faisons vite ce qu’il y a à faire. Avant qu’il soit trop tard! [Dobrze. A teraz szybko, zrobmy to, zanim nie jest za późno.] – odpowiedział jego towarzysz.

– C’est à vous de le faire. C’est vous, le prince! [Pan jest księciem. Panu to bardziej przystoi.] – odparł.

Księżę ukląkł przy martwym karle i obejrzał jego dłonie. Na serdecznym palcu prawej dłoni pokurcz nosił szeroki, złoty pierścień. Von Soltz usiłował zdjąć klejnot, jednak nie dało się go przesunąć przez zgrubiałe stawy paluchów karła. Wreszcie szlachcic, zniecierpliwiony, wyjął z kieszeni hiszpański nóż i oberznął całą kończynę, wyluskując pierścień ostrzem, po czym nabożnie nałożył go na swój serdeczny palec.

– Est-ce que cest deja le moment de... [Czy teraz powinienem...] – zawiesił głos.

– Oui. Allez-y vite! Peut etre il faudrait mieux le dire en allemand... S’il ne comprend pas le français? [Tak, teraz. Jak sam pan zauważył, musimy się spieszyć. Tylko niech pan to powie po niemiecku, on może nie znać francuskiego.] – odpowiedział mu kompan.

Księżę wzruszył ramionami i wyszedł. Wszyscy znają francuski. Rozejrzał się po nadreńskich łąkach, wreszcie podniósł dłoń i zawołał:

– Pourvu que Jelizawieta meure! Que la Nouvelle Russie nous soit favorable! C’est notre dernière chance... [Spraw, aby umarła caryca Elżbieta! Niech następny władca Rosji będzie nam przychylny! To nasza jedyna nadzieja!]

W kwadrans później, kilka tysięcy kilometrów na północny wschód od nadreńskich łąk, w Petersburgu, rozległo się bicie w dzwony. Powoli rozbrzmiewały spizowe serca wszystkich cerkwi miasta nad Newą. Na carskim dworze ktoś krzyknął.

– Jej Wieliczesstwo umierło! – a wiele głosów powtarzało ten okrzyk wpierw po rosyjsku, później po niemiecku i francusku.

Fryderyk II mógł odetchnąć z ulgą. W 1763 roku Prusy nie zostały starte z mapy.

3 lipca 1974 roku pod dom przy ulicy Engelsa w Pilchowicach na Górnym Śląsku, zajechał nowiutki, srebrzysty Mercedes 450SL, sportowe coupe, na białych, niemieckich tablicach rejestracyjnych. Na ulicach PRL-u nieczęsto widywano takie samochody. Nic

dziwnego, że auto wzbudziło nieklamany zachwyt grupy wyrostków, którzy jeszcze przed chwilą rozmawiali o piłce nożnej. Zebrali się dookoła pojazdu, wpatrując się w srebrny lakier, skórzaną tapicerkę i głośno przekrzykując się wyla mo na blacie.

Z samochodu wysiadł wysoki i szczupły mężczyzna. Gdy tylko otworzył drzwi, chłopcy rozbiegli się, ale zachęceni przyjaznym gestem, zaraz wrócili do auta. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu lat, nosił zwykły, nieco wymięty, szary garnitur. Na głowę nałożył kapelusz z niewielkim rondem. Okulary w grubych oprawkach z czarnego plastiku i spory neseser dopełniały wizerunku zwyczajnego urzędnika. Nie wyróżniałby się niczym na ulicach zarówno Hamburga, jak i Warszawy, czy Katowic. Za nic nie pasował do sportowego samochodu.

Otworzył pomalowaną na zielono furtkę z kratki „emki”. Dziwnym trafem, każdy dom przy tej ulicy miał cały płot z tej kraty, produkowanej na potrzeby kopalni i, podobno absolutnie nie do kupienia na rynku. Od furtki do drzwi piętrowego domu, typowej kostki, jakich pełno w okolicznych wsiach, prowadził schludny, dokładnie zamieciony chodnik, flankowany niskimi rzędami bukszpanu. Drzwi murowanego domu schowane były w laubie – przedsionku, o ażurowych ścianach, wycinanych z drewna. Na niewielkiej ławeczce na pewno chętnie zasiadał jakiś starszek pamiętający jeszcze czasy kaizera Wilusia. Teraz jednak ławeczka była pusta, zaś w równym rzędku ustawione przed drzwiami stały buty: gumiakki do pracy w ogrodzie, męskie półbuty i damskie pantofelki. Mężczyzna nacisnął okrągły przycisk dzwonka. W domu rozległo się natrętne brzęczenie.

– Jooooorg! – odezwał kobiecy głos.

– Cila, niy nerwuj mie! Kamrat u mie siedzi! – odpowiedział męski baryton.

– Ja, już ida...

Szczęknięto kilka zamków. Drzwi otworzyły się skrzypiąc. Za nimi wisiła niby-zasłonka z plastikowych pasków, mających rzekomo stanowić zaporę dla much. Niska, korpulentna kobieta odgarnęła paski i spojrzała na gościa. Kiedy zauważyła, że to nikt znajomy, przybrała oficjalny wyraz twarzy i zapytała po polsku:

– Dzień dobry. Czym mogę panu pomóc?

– Dobry. Jorg doma? Musza snim godać...

Na dźwięk śląskiego dialektu gospodyni uśmiechnęła się lekko.

– Ja, siedzóm z Francikiym i na futbol paczóm. Wlyźcie, sam sie sebućcie, tu mocie lacze. Jorg mo tam bólnkawa i kołocz, to wóm do. Jo móm robota we fribecie, to se tam dowecie rady bezy mie – trajkotała, przepuszczając gościa i wychodząc na zewnątrz.

Mężczyzna zdjął buty i kapelusz, otworzył drzwi do sieni i wszedł do pokoju. Na fotelu siedział Jorg, czyli Jerzy Szoltysek, mężczyzna pięćdziesięcioletni, o szpakowatych włosach i spracowanych dłoniach. Naprzeciwko siedział drugi – pewnie Francik, mniejszy, o szczirowatej twarzy. Obaj klócili się o właśnie obejrzany mecz.

– Jorg, pieróna, czamu sie niy cieszysz?

– Bo my przegrali – odpowiedział Szoltysek.

– Pieróna, Jorg, jakby te gorole grały z jakimiś Rusami, abo Szwedami, abo tymi Holyndrami, tobyś móg być za nimi, ale przeca łóni z Niymcami grali! – pieklił się Francik.

– No właśnie. My sóm przy Polsce, to my sóm za Polskóm. Czamu, Francik, jak cie na grubie pytajóm, to żeś już tak za tymi Niymcami niy jest? – bronił się zwolennik polskiej piłki.

– Ty dobrze wiysz, czamu. Jorg, a jak do Rajchu pojedziesz to bydziesz za Niymcami?

– Niy pojedza do Rajchu.

Francik machnął ręką i zaczął pożerać kołocz z makiem, popijając kawą. Kręcił przy tym głową, ale dał spokój kłótni.

Gość wszedł do pokoju.

– Witej, Jorguś – powiedział.

Gospodarz odwrócił się jak rażony gromem. Talerzyk wypadł mu z dłoni. Popatrzył chwilę na przybyłego i, nie odwracając od niego wzroku, powiedział do swojego kolegi:

– Francik, niy nerwuj sie, ale idź se terazki do dom, ja? Jutro se zaś pogodomy o fusbalu.

Francik zrozumiał, że to jakaś ważna sprawa, przełknął pospiesznie ostatni kawałek – Cila robiła najlepszy kołocz we wsi – i wyszedł bez słowa. Gość, nie czekając zaproszenia, usiadł na drugim fotelu.

– Jedyń zero dło Niymców. Gromy o trzecie z Brazylióm – powiedział Jorg.

– To terazkiś jest Polok, ja? – zapytał gość.

Jorg nie odpowiedział. Gość posiedział chwilę w milczeniu. Powoli, po cichu zaczął pogwizdywać pod nosem jakąś melodię. Szofitysek zanucił razem z nim. W pokoju cicho niosła się Horst Wessel Lied.

SS-Untersturmführer Friedrich Ratschek tkwił za krzakiem czeremchy, na skraju rosyjskiego lasu. Plamisty kamuflaż peleryny i pokrowca na hełm pomagał dobrze się ukryć, ale młody oficer nie polegał tylko na tym. Twarz umazał błotem, dzięki temu nie przyciągała wzroku sowieckich obserwatorów jasną plamą. Do hełmu przymocował kilka wiechci trawy, zaś pistolet maszynowy okręcił wąskimi paskami, pociętego jutowego worka, aby zamaskować charakterystyczny kontur broni. Stary pruski feldfebel dostałby niewątpliwie apopleksji, widząc takiego żołnierza, tutaj jednak nie groziła nikomu szpicruta specja od musztry, lecz sowieckie kule. Podporucznik co jakiś czas sięgał powoli po lornetkę i lustrował przedpole. Od lasu na wschód rozciągały się szerokie łąki. W miejscu, w którym miał swoją kryjówkę, zwężyły się do stumetrowego pasa rozdzielającego dwie ściany lasu. Oficer spojrzął na swoich ludzi – Heini, z kaemem, Otto – wielki, jasnowłosy chłop ze Szwabii, tulący policzek do rury pancerszreka. Dalej siedział cichy i skryty Timo Krispuu, strzelec wyborowy. Świetnie się zamaskował i obserwował przedpole przez lunetę swojego mauzera. Za nim drugi Estończyk, Jaan Harse, też z pancerszrekiem i Rudolf, z drugim kaemem.

– Laden und sichern! – dla pewności wydał komendę Ratschek.

Kiwnęli głowami – sam zakazał odpowiadać, po co komu tyle gadania. Będą mieli się Sowietom z pyszna, nie ma co. Oto sześciu świetnych żołnierzy z dywizji pancernej SS „Wiking” uzbroiło się po zęby, zrobiło zasadzkę i da bolszewikom popalić!

Czekali cierpliwie. W zeszłą sobotę wzięli do niewoli Kozaka, który sam przeszedł za ich linie, z zamiarem wstąpienia do RONA. Był przesłuchiwany i od niego wiedzieli, że konwój musi tędy jechać. Ich kompania była odpowiedzialna za utrzymanie swojego odcinka i nie mogli sobie pozwolić na osłabienie linii, ale na kilkakrotnie ponawiane prośby podporucznika SS-Sutrbannführer Geno Reihmann zgodził się wydelegować z Ratschkiem pięciu ludzi, których sam sobie wybierze, i dać im broń, jaką sami będą chcieli. Potem kręcił nosem, kiedy zobaczył w rękach ludzi podporucznika dwie przeciwpancerne wyrzutnie i dwa kaemy MG-42, „Pięciu ludzi, a pół siły ognia kompanii!” – ale słowa dotrzymał. Niech młody Untersturmführer zarobi na swój Żelazny Krzyż!

Najpierw usłyszeli warkot czołgowych silników. Konwój otwierał jeden czołg T-34, za nim podążały cztery amerykańskie ciężarówki Studebaker, z wymalowanymi czerwonymi gwiazdami na burtach, zaś całą kolumnę zamykał lekki T-40.

W zasadzce każdy znał swoją rolę. Nie otwierali ognia, czekali, aż znajdą się dokładnie na trawersie kolumny. Otto przygotował pancerzownicę do strzału i wycelował w pierwszy czołg, Rudolf w ten zamykający kolumnę.

– Feuer frei! – wyszeptał młody oficer.

Dwie rakiety poleciały w stronę czołgów, zostawiając za sobą smugi dymu. W tej samej sekundzie Krispuu nacisnął spust, trafiając w głowę kierowcę środkowej ciężarówki. Pierwszy czołg płonął. Załoga pospiesznie wyskakiwała przez właz na wieży. W drugim potężna eksplozja urwała wieżyczkę, zabijając załogę na miejscu. Rudolf zaczął pruć z karabinu maszynowego, krótkimi seriami, po kabinach ciężarówek, Krispuu zabił drugiego kierowcę, zaś podporucznik i Heine rzucili się przeładowywać panzerszreki.

– Verfluchte Scheisse! – krzyknął nagle Rudolf.

Podporucznik spojrział na przedpole... Wprowadzono ich w błąd! Ciężarówki, które miały być pełne części zamiennych, przewoziły żołnierzy! Z bud studebakerów wyskakiwali radzieccy piechurzy, słychać było komendy, wykrzykiwane przez wymachującego naganem oficera. Jednak Ratschek wybrał dobrych żołnierzy, zanim jeszcze wydał odpowiednie rozkazy, każdy zaczął robić swoje. Strzelcy pancernicy odłożyli rury, sięgnęli po peemy i zaczęli strzelać krótkimi seriami. Rozszczękały się również obydwie karabiny maszynowe. Estończyk zastrzelił radzieckiego oficera. SS-Untersturmführer raz za razem naciskał spust i starał się ocenić sytuację.

Mieli chwilową przewagę i odnieśli już spory sukces – dwa zniszczone czołgi, kilkunastu zabitych Rosjan, a podziurawione ciężarówki dalej nie pojadą. Sowieci dysponowali jednak przewagą liczebną, było ich około sześćdziesięciu. Chwilowo ogień przycisnął ich do ziemi, kryli się za samochodami i wrakami czołgów, ale gdy tylko ich dowódca zorientuje się w sytuacji, natychmiast przejdzie do natarcia. Musieli mieć przynajmniej sześć erkaemów – przygwoźdzą Niemców ogniem zza ciężarówek, reszta ruszy do ataku. Trzeba więc uciekać, i to szybko, bo w lesie tracą przewagę nad czerwonymi. Całe szczęście, że do swoich pozycji niedaleko! Krótka komenda – ludzie będą wiedzieli co robić.

– Zuruck! Schnell!

Heini i Rudolf zaczęli strzelać, w tym czasie reszta żołnierzy odskoczyła na parę kroków. Zza drzew posłali kilka serii z pistoletów maszynowych, Krispuu zastrzelił jakiegoś Iwana, który zbyt mocno wychylił się zza burty ciężarówki. Pod osłoną kolegów wycofali się obaj strzelcy kaemów, objuczeni taśmami z nabojami i ciężką bronią. Wszyscy ruszyli biegiem przez las. Ratschek zastanawiał się, czy dadzą radę. Popęłnił błąd – nie przewidział konieczności szybkiego odskoku i za bardzo obciążył swoich ludzi. Za porzucenie w lesie broni, i to tak cennej jak karabiny maszynowe i pancernice groziłby sąd polowy. Żołnierze nieśli za dużo – normalnie obsługę zarówno kaemu jak i panzerszreka stanowi dwóch ludzi – celowniczy i amunicyjny. Tutaj każdy niósł swoją amunicję, zaś niszczyciele czołgów mieli jeszcze automaty. Wyraźnie słyszeli za sobą odgłosy pogoni, przyspieszyli. Jednak rosyjscy piechurzy nie mieli tyle sprzętu – wszystko, co mogłoby przeszkadzać, porzucili pewnie przy ciężarówkach (Ratschek sam by tak zrobił) i teraz biegli szybciej niż Niemcy.

Podporucznik zaczął się rozpaczliwie zastanawiać, co gorsze – zginąć z ręki Iwanów, czy ryzykować wściekłość dowódcy kompanii i pewnie sąd polowy. O odznaczeniu może zapomnieć, chociażby jutro własnoręcznie zniszczył całą ruską dywizję pancerną. Trudno, nie był wariatem, pośmiertny Krzyż Rycerski nie pociągał go wcale. Życie ludzi, którzy pokładali w nim swoją ufność, było mu droższe niż broń. Postanowił porzucić obciążenie – już chciał wydać taki rozkaz, gdy kilkanaście metrów przed nimi uniósł się duży kawał darni, spod którego wyjrzała umorusana twarz żołnierza.

– Kameraden! Kommen sie hier! – krzyknął.

Ziemny, zamaskowany schron! Dzięki Bogu! Iwany tutaj ich nie znajdą, dojdą do niemieckich linii, odbiją się i dadzą spokój, uznawszy, że udało się im uciec! Wskoczyli do środka. Ziemianka przygotowana była bardzo porządnie, ściany oszalowano świeżymi pniami sosen, tak samo podłogę, stały tam też zbite z desek prycze, był stół, lampa naftowa i, najważniejsze, radio – sensem istnienia bunkra było zatrzymanie pierwszego ataku i

ostrzeżenie właściwych linii – od strony „radzieckiej” znajdowała się szczelina obserwacyjna, zamaskowana krzakami i siatką. Strop przykrywała gruba darń, zapobiegliwi budowniczcy zasadzili na niej nawet małą brzoźkę.

Gdy wszyscy znaleźli się już w środku, żołnierz ze schronu zasunął właz. Załogę placówki stanowiło dwóch ludzi – niski, ciemnowłosy SS-Sturmann i szeregowiec zajęty czyszczeniem swojego karabinu.

– Zaś poszoł jakiś oficjyr, gupi gizd, i Rusy mu wojoków zabiły... – mruknął pod nosem żołnierz, nie spodziewając się, że ktoś jeszcze może tutaj rozumieć po śląsku.

Fritz Ratschek przyjrzał się mu badawczo.

– Od kiedy to do Waffyn SS Poloków bieróm, co? – zapytał żołnierza.

– O, pierucha... – wyrwało się Georgowi Sholtiskowi, spodziewającemu się kary za lekceważenie oficera.

Nie został jednak ukarany.

Młody oficer mógł wreszcie wpiąć do munduru wstążkę swojego upragnionego Żelaznego Krzyża II klasy. Zgłosił się do SS na ochotnika. Czuł się Niemcem, ale sprawy ideologiczne nigdy go nie zaprzętały. Chciał być żołnierzem i, mimo że zabronił mu tego ojciec, zabroniła matka, i nawet farorz zagroził ekskomuniką, młody Ratschek w październiku 1939 zdał maturę w gliwickim gimnazjum i zgłosił się na ochotnika do Waffen SS. Koleżeńska atmosfera w tym nowym wojsku odpowiadała mu bardziej, niż arystokratyczny Wehrmacht. Trafił do SS-Junkerschule w Bad Tölz, a potem do dywizji „Wiking”. Razem z flamandzkimi, norwesкими, estońskimi i fińskimi ochotnikami przeszedł cały szlak bojowy – Ukraina, południowa Rosja, Kaukaz, teraz znów Ukraina...

Natomiast Georg Sholtisek nie był bynajmniej ochotnikiem. Jako poborowy mógł zostać powołany tylko do Wehrmachtu, jednak w 1943 roku na obwodowej komisji wojskowej dano mu do podpisania jakiś dokument. Ktoś powiedział, że to tylko formalność. Jorguś nie czytał za dobrze po niemiecku, podpisał więc, jak kazali – rodzice przyuczyli do posłuszeństwa. Pięć tygodni później siedział na pryczy, w pociągu wesoło toczącym się przez szerokie stopy Rosji. Po niemiecku nie umiał wiele więcej niż „Zu befehl”, „Jawohl”, i „SS-Schutze Georg Sholtisek”. W pięć tygodni, ku rozpaczy ojca i matki, z syna śląskiego górnika stał się rycerzem Tysiącletniej Rzeszy, walczącym na wschodzie z azjatyckimi hordami.

Fritz Ratschek polubił młodego Ślązaka. Zdołał załatwić mu przeniesienie do swojej kompanii i zrobił z niego swojego „adiutanta”, jeżeli podporucznik może mieć adiutantów. Miło było mieć z kim pogadać po swojemu. Jeszcze weselej było, gdy spotykali jakąś grupę Ślązaków z Wehrmachtu.

Jorg Szołtysek bardzo rzadko pił alkohol. W niedzielę po obiedzie piwo, a gdy nie mógł spać, nalewał sobie mały kieliszek gorzółki.

– Tyn mój to je porzondny chop. Do szynku niy chodzi, doma tysz gorzoły niy piyje, cygaretów niy kurzy, szporuje, na a geltag mo całkiym fajny – zwykła mawiać gadatliwa Cila Szołtysek, dumna ze swego męża.

Lecz tego dnia Jorguś nie odmówił. Noc była ciepła, postanowili więc pójść do lasu. Fritz schował samochód w garażu za domem Szołtyśka i z bagażnika wyjął dwie butelki whisky Ballantine's, absolutny luksus. Jorg wziął z domu szklanki, dwa pęta swojskiego wusztu do przegryzania, chleb i koc.

– Cila, niy czekej na nos z wieczierzóm i narychtuj dło mie, i dło mojigo kamrata spanie na dole – powiedział do żony.

A ta, zazwyczaj gadatliwa i swarliwa, wyczuła jakoś powagę sytuacji.

– Yno mi dziełchów niy pobudźcie – poprosiła tylko.

Spakowali wszystko do plecaka, którego Jorg używał na wycieczkach w góry.

Przez Pilchowice płynie niewielka rzeczka, Bierawka, przecinając lasy okalające wieś. Na jednej z leśnych polan, nad rzeką dwaj kamraci rozłożyli koc i usiedli, opierając się o pień zwalonego drzewa. Niedysiejszy SS-Hauptsturmführer, aktualnie dobrze prosperujący biznesmen, członek zarządu wielkiej firmy budowlanej Deicher GmbH – Friedrich Ratschek, otworzył pierwszą butelkę szkockiej. Nalał, wznieśli toast. Jorgowi niezbyt smakował aromatyczny alkohol, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Gdy zaczęło się ściemniać, zebrali nieco suchego drewna i rozpalili ognisko. I wspominali.

Obaj poddali się Amerykanom w marcu 1945 i trafili do obozu jenieckiego w brytyjskiej strefie okupacyjnej.

Fritz poświadczył, że Szołtyśka wcielono do Waffen SS przymusowo i Jorga zwolniono, pozwalając mu wybrać, czy chce zostać w Niemczech Zachodnich, czy woli wrócić do sowieckiej Polski. Jorg chciał po prostu wrócić do domu. Nie żałował swojej decyzji, gdy czarnoskóry kierowca amerykańskiego jeepa zatrzymał się przed sowieckim posterunkiem w Czechach. Szołtysek wrócił do domu, do Pilchowic. W swojej rodzinnej wsi nie zastał wielu dawnych kolegów. Jedni zginęli w Rosji, innych wywieziono do Niemiec. Po wojnie ukończył w trybie przyspieszonym górnicze technikum i już w 1946 roku pracował w kopalni KWK Knurów. W 1948 ktoś doniósł „że Szołtysek Jerzy się nazywał Sholtisek Georg i że jest on esesmanem, co zabijał komunistów z bratniego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich”.

Aresztowało go UB, siedział w budynku urzędu przy ulicy Powstańców w Katowicach, przesłuchiwali go, niezbyt zresztą brutalnie, bo „Szołtysek Jerzy” niczego nie próbował ukrywać. Poświadczył za niego w końcu kuzyn ojca, który zaraz w 1945 zapisał się do PPR-u i został „działaczem”. Wypuścili go i dali spokój. Był to jedyny kontakt Jorga Szołtyśka z polityką. Zbudował dom w Pilchowicach i te trzy dekady spędził na ciężkiej pracy na kopalni. Ożenił się z Cecylią Bieniek, która urodziła mu dwie córki i syna. Za domem miał gołębnik. Gołębie stanowiły hobby Jorgusia, i okazję do spotkań z kolegami – gołymbiorzami. Niektórzy z tych kolegów byli też na wojnie, ale o tym nigdy nie rozmawiali. Związek Hodowców Gołębi Poczтовых był jedyną organizacją do jakiej należał.

Fritz spędził w obozie jenieckim rok. Jego rodzice zginęli w marcu 1945, za drutami dowiedział się o tym dopiero po dziesięciu miesiącach. Gdy wyszedł na wolność, nie miał i nie znał nikogo. Jedyne, co potrafił, to być żołnierzem. W czerwcu 1946 roku zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Znał niezłe francuski, w Legii ceniono niemieckich oficerów. Szybko awansował do stopnia podporucznika. Walczył w Indochinach, aż do Dien Bien Phu, gdzie został ciężko ranny. Nie podpisał kolejnego kontraktu. Wrócił do Niemiec. Zarobiona na wojnie sumka pozwoliła mu podjąć wieczorowe studia budowlane, pracował jednocześnie jako robotnik, potem majster. W 1956 ukończył studia i zauważył, że biznes podobny jest do wojny. Od tego momentu jego kariera zaczęła się toczyć zadziwiająco dobrze. Został prezesem wielkiej firmy, miał piękny dom z basenem, trzy samochody, wakacje spędzał na Teneryfie... Żony ani dzieci nie miał. Zaczął spisywać swoje wspomnienia.

Tak rozmawiali do końca pierwszej butelki. Gdy Jorguś otworzył drugą, zaczęli wspominać wspólne, wojenne przygody. Ciemna noc i płomień ogniska przypomniały im noce spędzone przy ogniu – w Rosji, na Kaukazie, na Ukrainie, w Polsce, na Węgrzech. Wspominali towarzyszy, tych co zginęli, tych co przeżyli, sławnych ludzi, których spotkali.

Dziesięć lat temu Jorg próbował napisać do Estończyka, Jaana Harse, z którym szczególnie się przyjaźnił. Wysłał list na adres matki Jaana, o której ten mawiał „Chociażby świat się palił, moja matka zawsze będzie mieszkać w domku pod Haapsalu nad Bałtykiem”, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Pod koniec drugiej butelki Fritz zapytał:

– Jorg, a pamiętasz jak nos Göring wysłał nad Ren, szukać tyj jaskinie?

Szołtysek był już nieco pijany.

Pierwszego marca 1945 dróżką wzdłuż Renu, gdzieś pomiędzy Bonn a Koblencją, dziarsko toczył się odkryty kubelwagen. W kanciastym samochodziku siedziało czterech mężczyzn. Kierowca nosił mundur sierżanta Wehrmachtu; pozostali trzej mieli na sobie maskujące panterki SS, bez dystynkcji. Światła, zgodnie z regulaminem, przykryli przesłonami, w obawie przed alianckim lotnictwem. Pociąg dla pasażerów był mglisty rano – chmury wisiały nisko, nieciekawa pogoda dla lotników. Pociąg, przecież nikt nie ściąga osłon z lamp, jak się na chwilę zachmurzy.

SS-Hauptsturmführer Fritz Ratschek obojętnie patrzył na rzekę, pogrążony w rozmyśleniach. Gdzieś na drugim brzegu są już Amerykanie. Na wschodzie Sowietów, tak blisko Berlina. Chyba w całej Rzeszy już tylko Führer wierzył w zwycięstwo. Fritz słyszał, jak w rozmowach o Hitlerze kilkakrotnie powoływano się na „cud domu brandenburskiego”. O tym samym mówił sam marszałek Göring.

Byli w Bawarii dwa tygodnie temu. Göring, odurzony narkotykami, pozbawiony praktycznej władzy, o czym wiedział nawet Ratschek, przez godzinę perorował w natchnieniu o arystokratycznych przodkach Hauptsturmführera. Germańscy, śląscy rycerze! Ratschek wiedział o swoich szlacheckich korzeniach, w Przyszowicach na Śląsku mieszkał nawet jego daleki krewny, który ciągle posługiwał się tytułem Graf von Raczek. Jednak już pradziad Fritza był zbyt ubogi, by dla swego syna wykupić patent. Marszałek wiedział i o tym – bełkotał coś o „kupieckiej, żydowskiej mentalności, pieniędzmi zarzynającej prawdziwą szlachtę”, tytułował młodego esesmana „Hauptsturmführer von Ratschek”. Powtarzał też bez przerwy coś o „germańskim rycerstwie”, zaś Fritz nie śmiał napomknąć, że herb jego rodziny, Warnia, należy do polskiej heraldyki.

Wreszcie Göring zaczął opowiadać o wojnie siedmioletniej. Wykład z historii był długi i nudny, prowadził do prostej konkluzji – w roku 1763 Prusy stały na krawędzi zagłady, wojska austriackie i rosyjskie maszerowały na Berlin, a jednak Opatrzność czuwała i kraj przetrwał. Ratschek wiedział o tym doskonale ze szkoły, jednak teraz marszałek zaczął podkreślać beznadziejność ówczesnej sytuacji. Oczywiście, analogia sama się nasuwała. Tylko gdzie ta cesarzowa Elżbieta, która miałaby umrzeć?

Po czym Göring pokazał, o co naprawdę chodziło. Skinieniem dłoni przywołał kamerdynera, który przyniósł hebanową skrzyneczkę. Marszałek otworzył pudełko z namaszczeniem i podał Fritzowi pergamin. Ktoś pięknymi, podobnymi do szwabachy literami wykaligrafował tekst po łacinie. Poniżej umieszczono miniaturę przedstawiającą brodatego mężczyznę, który podnosił prawą dłoń z wielkim pierścieniem na serdecznym palcu. Göring tymczasem perorował dalej. Twierdził, że posługując się tym dokumentem, w 1763 roku Guido graf von Raczek odnalazł jaskinię, w której spał karzeł Alberyk. Posiadał on pierścień Nibelunga, którego moc ratuje Germanów. A teraz Fritz, potomek hrabiego von Raczek, pojedzie szukać pierścienia Nibelunga, i uratuje Niemcy. A on, Hermann Göring, zostanie nowym Führerem, który nie popełni błędów Hitlera.

W efekcie tamtej rozmowy Fritz siedział teraz w pędzącym po wybojach samochodzie i zastanawiał się, co też ich czeka na końcu tej podróży. Jego rozważania przerwało nagle

hamowanie. Zatrzymał ich żandarm w motocyklowym płaszczu. Samochód najwyraźniej wydawał mu się podejrzany – żadnego oficera w środku, dużo broni, dziwny kierunek jazdy...

– Aussteigen! – rozkazał.

Siedzący obok Ratschka oficer Wehrmachtu, herr Oberst Heimo von Krantz, zauważył żołnierza wcześniej. Wyciągnął z kabury pistolet jeszcze zanim samochód się zatrzymał. Z przodu Sholtisek otworzył drzwiczki. A kiedy żandarm skierował w jego stronę lufę peemu, Krantz wyciągnął rękę z pistoletem ponad burtę samochodu i dwukrotnie strzelił tamtemu w pierś. Wsiadł z samochodu, zabrał postrzelonemu pistolet maszynowy, z ładownic wyciągnął magazynki, następnie wycelował w czoło żandarma i pociągnął za spust. Nogą zepchnął ciało do rowu i wsiadł do auta. Sholtisek stał, oszołomiony. Heimo von Krantz, który już powrócił do przerwanej kilka minut wcześniej lektury, uniósł wzrok.

– Einsteigen, Sturmman Sholtisek. Fahren Sie, bitte – zwrócił się do kierowcy.

Przejechali jeszcze kilka kilometrów, kiedy Ratschek, tknięty jakimś przeczuciem, wyciągnął kopię dokumentu Göringa. Nakazał zatrzymać samochód i z kompasem porównał układ ruin dwóch nadreńskich zamków i starego, romańskiego kościoła.

– Das ist hier, glaube Ich... – powiedział.

Na piechotę ruszyli ku rzece. Na nadbrzeżnej łące tkwił szary głaz, miejsce zgadzało się z mapą. Jorg wziął ze sobą kaem, kierowca miał pistolet maszynowy – zajęli stanowiska i ubezpieczali oficerów. Pułkownik von Krantz dziarskim krokiem pomaszerował do kubelwagena po kilof. Wyszarpnął go z przeznaczonych na to narzędzie haków i równie szybkim krokiem jął wracać do skały. Nie doszedł.

Metr od nóg pułkownika eksplodował pocisk kalibru 7,5 cm, wystrzelony z odległego o czterysta metrów niemieckiego czołgu „Panther”. Pocisk przeznaczony był dla samochodu, zaparkowanego przy drodze, lecz chybił. Z von Krantza zostały jedynie buty. Fritz nagle zrozumiał!

– Jorg, pódz tukej! Sam niy bydom szczyłać! – krzyknął.

Jorg nie rozumiał, ale nie zadawał pytań. W kilku skokach znalazł się przy swoim dowódcy. Pantera obróciła wieżę, ale w stronę skały nie padł strzał. Za czołgiem ukazały się dwa transportery opancerzone, z których wysypywali się grenadierzy.

– Jorg, pier po nich, wiewa wiewie! Wiewa mosz patrónów do maszingwyjra? – zapytał Fritz.

– Trzista. Hauptsturmführer, przeca nos zabijjom. I pojakimu nasi do nos szczyłajóm? Przeca wiewa, że my sóm nasi! – odpowiedział Jorg.

Fritz nie tracił czasu na wyjaśnienia teraz. Sam rozumiał doskonale. Marszałek Göring chciał tego, co było w tej skale wyłącznie dla siebie. A ludzie Führera również szukali Groty Nibelungów. Nie ośmieliła się jednak strzelać do ostatniej nadziei Rzeszy z armaty. Fritz i Jorg są więc w luksusowej sytuacji – mogą strzelać, nie będąc ostrzeliwanymi. Kierowca kubelwagena tego nie rozumiał i zginął, trafiony serią z czołgowego kaemu.

Ten, który dowodził zmechanizowanym oddziałem na wzgórzu, nie był głupi. Grenadierzy szerokim łukiem omijali stanowisko zajmowane przez dwóch Ślązaków, aby zająć ich od drugiej strony. Ratschek zastanawiał się, co może zrobić, aby zwiększyć swoje szanse na przeżycie kolejnego kwadransa.

W tym momencie wieża pantery zwróciła się w stronę rzeki. Pierwszy strzał z niemieckiego czołgu urwał wieżyczkę shermana, który ukazał się na wzgórzu na drugim brzegu. Ale za pierwszym nadjechały cztery następne. Świetnie wyszkoleni niemieccy czołgiści zdołali zniszczyć kolejnego. Jednak dobrze wymierzona salwa z trzech amerykańskich armat rozbiła panterę. Za shermanami wiewa było piechotę i saperów na ciężarówkach, wiewających elementy mostu pontonowego. Niemiecki dowódca usiłował zorganizować jakąś obronę, jednakże żołnierze nie strzelali zbyt ochoczo. Kiedy pojawiła się pierwsza biewa flaga, krzyczał o zdradzie i groził pistoletem. Jego ludzie już nie chcieli

umierać. Ktoś nacisnął spust karabinu, i odważny dowódca, pragnący wypełnić rozkazy Fuhrera i walczyć do ostatniego naboju, zginął od niemieckiej kuli. Grenadierzy uznali, że nadarza im się niepowtarzalna okazja trafienia do niewoli amerykańskiej. A to było dużo lepsze, niż perspektywa gnicia w sowieckim łągrze.

Jorg Sholtisek uznał, że warto dowódcę o coś zapytać.

– Hauptsturmführer, można i dlo nos sam by sie ta wojna mogła skóńczyć?

Fritz Ratschek zgodził się z podwładnym. Wyszli z za głazu z rękami w górze. Dla nich ta wojna się skończyła.

Tydzień później uprzejmy oficer amerykańskiego wywiadu wojskowego zapytał Fritza:

– Who were you before your military service?

Zaś Fritz odpowiedział po angielsku, ze swoim fatalnym akcentem:

– I was nobody.

– Who are you going to be when the war is over? – zapytał znowu officer.

– I will be nobody – odparł Ratschek.

A amerykański oficer doskonale wiedział, że ten młody esesman wcale nie usiłuje utrudniać mu rutynowego przesłuchania.

Srebrny, sportowy mercedes gnał po autostradzie z Monachium do Ulm. Potężny silnik z basowym pomrukiem rozpędzał samochód do prędkości dwustu kilometrów na godzinę. Fritz prowadził z wyraźną przyjemnością, droga była całkiem pusta. Jorg wpatrywał się w przelatujące za szybą krajobrazy. W Niemczech nie był od 1945, za granicę, w ciągu tych trzydziestu lat, wyjechał raz – na wczasy, na Węgry.

Podróż się dłużyła, ale jakoś nie rozmawiali zbyt wiele, więc miał dużo czasu na rozmyślanie.

Życie Jorga dzieliło się na trzy wyraźne okresy. Dzieciństwo, od kiedy pamięta, do poranka, w którym przyszło wezwanie do wojska. Matka z łzami w oczach dała mu pięć marek, żeby sobie coś kupił w mieście, a on, podekscytowany, spotkał się z kolegami pod kościołem i na rowerach pojechali do Gliwic, na komisję wojskową. To były lata bez troski. Rodzice nie byli bogaci, ale Jorg był jedynym synem, a ojciec, górnik strzałowy, był dobrze opłacany, więc bieda nie zaglądała im do garnka.

Następny okres może nazwać młodością – to trzy lata w Waffen SS, na wojnie. Gdyby miał opowiedzieć o tym swojemu szesnastoletniemu synowi (Jorg czekał aż smarkacz dorośnie), powiedziałby, że wojna była straszna. Niech Bóg go od niej strzeże. Jednak, gdy myślał o tym, we własnym sumieniu musiał przyznać, że ma wiele dobrych wspomnień z tego czasu. Bracia. Niemcy, Estończycy, Finowie i Norweg. Bliźsi mu niż ktokolwiek inny, bliźsi niż żona, matka, dzieci. Kameraden, z którymi łączyła go przyjaźń bardziej intymna, niż jakakolwiek inna relacja między ludźmi, przyjaźń, jaką można zbudować na wspólnym obcowaniu ze śmiercią. Towarzysze, którym ratowało się życie po stokroć i którzy odpłacali tym samym. Opatrywali sobie nawzajem rany, dbali o siebie jak najlepsze rodzeństwo. Poza starszym Jaanem Harse, Estończykiem, który trochę im matkował, wszyscy byli w wieku Jorga. Razem upijali się po raz pierwszy, razem po raz pierwszy szli na dziewczyny, razem znosili klęski, razem cieszyli się ze zwycięstw. Rozstali się bez żalu, nie szukali też nigdy ze sobą kontaktu – a jednak nie było dnia, w którym Jorg nie myślałby o swoich kamratkach, lub we śnie nie widział ich twarzy.

Trzecia część jego życia zaczęła się wraz z końcem wojny. Był szczęśliwy. Miał dobrą żonę i dzieci, porządnymi kolegami w pracy. Nie lubił komunistów, chodził do kościoła, a w politykę nigdy się nie angażował. Kiedyś obiecał to swojej żonie. Jej ojciec, stary Werner

Bieniek, miał czterech braci, trzech stracił przez politykę. Dwóch zabili w 1920 roku Polacy z POW-u, trzeciego w 1921 Niemcy z Selbstschutzu. Sam Werner przyjął taktykę zbrojnej neutralności – trzymał w domu pistolet, i gdy na jego plac włączyły polskie albo niemieckie chachary strzelał sprawiedliwie, do wszystkich. Dzięki temu i jedni i drudzy dali mu spokój.

Jorg nie protestował, kiedy jego dzieci uczono w szkole bzdur o odwiecznej polskości Śląska, powrocie do piastowskiej macierzy. Dorosną, to przyjdzie czas im wytłumaczyć – a teraz, po co paplaniem mają narobić sobie kłopotów w szkole.

I oto nagle, po trzydziestu latach, życie Jorga wywróciło się do góry nogami. Wystarczyła jedna noc nad dwiema butelkami whisky – i oto on, Szoltysek Jerzy, który nigdy nie przebumelował w życiu ani jednej godziny, bo tak go ojciec nauczyli, poszedł do lekarza z butelką, kawą i czekoladą z Rajchu i dostał zwolnienie lekarskie na miesiąc. Żonie powiedział tylko:

– Cila, jada z Fritzem do Rajchu. Za miesiąc byda nazod. Przywieza dzieciom szkuladów.

Cila najpierw zaczęła trajkotać, a po co, a dlaczego, skąd paszport, czy dadzą, a kto za to zapłaci, a czy mu się nic nie stanie. Jorg cierpliwie przeczekał potok słów. Gdy skończyła, wyszeptał:

– Cila, dziółszko moja, jo musza tam pojechać.

Żona zrozumiała i nie zadała ani jednego pytania więcej. Zrozumiała też, gdy poprosił, by nie mówiła nikomu, że pojechał do Rajchu – oficjalnie wybrał się do sanatorium w Ciechocinku. Na szczęście, nie wiedziała, że Jorg wcale nie będzie sobie wyrabiał paszportu. Któregoś dnia Fritz poprosił o zdjęcie i zamknął się na godzinę w pokoju, po czym wręczył przyjacielowi paszport Bundesrepublik Deutschland wystawiony na Johana Kaufmana, ze zdjęciem Jorga i peerelowską wizą w środku.

Kiedy zbierali się już do wyjazdu Jorg zszedł z Fritzem do piwnicy. Zamknął za sobą dokładnie drzwi, i kazał Cili przypilnować, żeby żadne z dzieci nie polazło na dół. Zaprowadził Fritza do swojego warsztatu, odsunął ciężką, stalową szafkę i wyjął ze ściany dwie cegły. Za nimi znajdował się mały schowek – wysmołowany, aby chronić zawartość przed wilgocią, zamykany na stalowe drzwiczki. Kluczyk leżał na framudze piwnicznego okienka – mały, zardzewiały, jeden z wielu rupieci, poniewierających się po warsztaciku. Lekko dał się przekręcić w naoliwionym zamku – i ze schowka Jorg wyjął blaszane pudełko po ciastkach. Położył je na stole i otworzył. W środku leżało pięknie zakonserwowane parabellum i szesnaście nabojów. Wytłumaczył Fritzowi, że pistolet znalazł już po powrocie do domu, przy zwłokach oficera, który zginął w lesie pod Pilchowicami. Jorg jakoś głupio czuł się bez broni, wziął więc pistolet, wsadził do skrzynki, zalał olejem i schował u rodziców pod podłogą na strychu. Kiedy budował dom, sporządził ten schowek, w tajemnicy przed wszystkimi. Raz do roku, w rocznicę swojego wstąpienia do wojska, wyciągał pistolet ze skrytki, czyścił, konserwował i chował. Raz na rok, nigdy częściej. Ratschek kiwnął tylko głową, i Jorg ukrył pistolet z powrotem w schowku.

Na szaloną propozycję Ratschka zgodził się z jednego powodu. Chciał jeszcze raz poczuć to podniecenie, które gdzieś w połowie wojny zastąpiło odczucie strachu. Zamiast bać się przed walką, opanowywało go wtedy właśnie to niepowtarzalne, wręcz radosne uczucie. Wiedział, że może zginąć, ale w jakiś najdziwniejszy sposób przestał się wtedy bać śmierci.

Pamiętał swój ostatni szturm, jakby to było przedwczoraj. Opancerzony transporter trząsał się niemiłosiernie na wyboistej drodze, siedzieli naprzeciwko siebie – ciemne, okopcone twarze, hełmy w pokrowcach, nerwowe uśmiechy towarzyszy, jaśniejsze oczy, brudne dłonie kurczowo zaciśnięte na lufach pistoletów maszynowych.

Zaraz po wojnie zamienił czasem kilka zdań z kolegami ze szkoły, którzy trafili do Wehrmachtu. Wszyscy mówili to samo – tam yno jedno było ważne – przeżyć. Jorg wyczuł tę delikatną różnicę w rozłożeniu akcentów, tę nieprzebijalną zasłonę między nim, a tamtymi.

Ochotniczy charakter dywizji sprawiał, że nawet ci wcieleni przymusowo, jak Jorg, przejmowali coś z walecznego zapału młodych esesmanów. Wojna była straszna, miał nadzieję, że jego dzieci nigdy żadnej nie doświadczą – ale nie mógł się tego wyprzeć: wtedy, gdy siedzieli naprzeciwko siebie w jadącym po ulicach Budapesztu transporterze, nie myśleli o śmierci, ani o okropnościach wojny. Myśleli z podnieceniem o nadchodzącej walce! Nie tęsknił do tego uczucia – jednak, gdy Ratschek dał mu możliwość krótkiego powrotu do czasów, kiedy życie smakowało inaczej, niż węglowy pył w kopalni i kluski z roladą na niedzielny obiad, nie zastanawiał się długo.

Ratschek opowiedział mu wszystko. Gdy wrócił z Indochin i wystąpił z Legion Etrangere, postanowił odnaleźć Pierścień Nibelungów. Otworzył nadreńską grootę, jednak była pusta – nie znalazł w niej ani Alberyka, ani złota, ani pierścienia. Tylko dwa zetłate, ludzkie szkielety.

Książę von Soltz wykrzyczał swoje „życzenie” i zamilkł. Nic się nie stało – nadreńskie łąki spowijał mrok.

– J'ai l'impression de me retrouver dans une légende [Mam wrażenie, że znajdujemy się w jakiejś legendzie...] – powiedział po chwili.

– Effectivement, jusqu'à maintenant, cela en a bien l'air... [Bo też tak to, jak do tej pory, wygląda.] – dodał von Raczek.

Książę uśmiechnął się.

– J'ai toujours pensé être rationel, mais dans cette situation précise, même la raison me conduirais à en profiter. Dirigeons nous vers Berlin maintenant. Nous allons voir si nous avons réussi à changer quelque chose. Et puis... il faut que l'on rende l'anneau au Seigneur [Uważam się za racjonalistę, ale w naszej sytuacji nawet rozum podpowiadał, aby wykorzystać tę sytuację. Trzeba nam teraz jak najszybciej jechać do Berlina, sprawdzić, czy nasze starania coś dały. A potem oddać ten klejnot Jego Wysokości.] – postanowił.

Von Soltz skinął na swego sługę i skierował się ku wierzchowcom. W tej samej chwili Guido graf von Raczek wyciągnął zza pazuchy mały pistolet, przystawił księciu do potylicy i strzelił. Na umówiony znak Hanys rzucił się na sługę hrabiego, obalił na ziemię i poderżnął mu gardło.

– Leć terazki drapko na góra, i rozpol te dwie fojerki. Yno drap! – zakomenderował hrabia.

– Jawohl, Graf!

Hanys pobiegł na górę i jał krzesać ogień, by rozpalić ogniska. W tym czasie hrabia odwrócił trupa, ściągnął mu z palca pierścień i schował do kieszeni. Zaciągnął oba ciała do groty. Ogniska już płonęły – a po drugiej stronie Renu zapaliły się niewielkie światełka. Po kwadransie do brzegu przybiło pięć łodzi, każda z tuzinem ludzi na pokładzie. Hrabia wydał komendy – i z łodzi wyniesiono skrzynie, do których sześćdziesięciu ludzi sprawnie spakowało skarby z jaskini. Nikt nie ukradł nawet talara. Guido Höllische Graf von Raczek wzbudzał strach większy nawet niż chciwość towarzyszy hrabiego – wyborowej bandy rzezimieszków, przy których austriackich pandurów można by wziąć za bogobojnych mieszczan.

Tydzień później kolumna zbójów przebranych za pruskich dragonów, eskortujących „transport najwyższej wagi państwowej” przemierzała zniszczony wojną kraj, kierując się na Śląsk.

Srebrny, sportowy mercedes zjeżdżał drogą, wijącą się wokół wzgórza Torreblanca niedaleko andaluzyjskiego kurortu Fuengirola, dwadzieścia pięć kilometrów od Malagi. Kwadrans wcześniej Fritz Ratschek i Jorg Szoltysek, po serdecznym pożegnaniu, opuścili willę, w której mieszkał były SS-Standartenführer, były dowódca walczących w Waffen SS Walonów, aktualnie biznesmen z branży budowlanej, Leon Degrelle.

Fritz był dumny – Degrelle poznał go, pamiętał go jeszcze po tych wszystkich latach. W czasie wojny spotkali się w kotle pod Czerkasami. Teraz długo rozmawiali, nieco wspominali, potem godzina zesłała na załatwienie aktualnej sprawy. Jorg tylko przysłuchiwał się tej rozmowie, ale, ponieważ toczyła się po francusku, niczego nie mógł zrozumieć.

Degrelle nie zrobił na Szoltyku dobrego wrażenia. W przeciwieństwie do Fritza, Jorg znał szeregowych żołnierzy – Walonów – podwładnych Degrella. Nie mieli o nim najlepszego zdania. W czasie wojny nigdy nie spotkał go osobiście, ale dzisiejsza wizyta odświeżyła tylko wspomnienie epitetów, jakimi określali tego ulubieńca Führera jego żołnierze. „Karierowicz”, „cwaniak”, „spryciarz”, „kanciarz” – aż po „oszusta” i „kłamcę”. Twarz Belga potwierdzała słowa kolegów. Wtedy miał zadowoloną z siebie buźkę małego spryciarza, chytruska – dziś, jego poorana zmarszczkami fizjonomia postarzałego lowelasa dopełniała tamtego obrazu. Na zdjęciach, które Jorg widywał w gazetach podczas wojny nie było jednak tego błysku szaleństwa w oczach, który pojawiał się kilkakrotnie podczas rozmowy z Fritzem.

Ratschek nie wyjął, po co pojechali do Hiszpanii. Podróż zajęła im trzy dni – spali w przydrożnych hotelikach. Dużo rozmawiali o planach Fritza. Przede wszystkim Ratschek mówił. Jorg pojechał z nim, aby zakosztować innego życia, chociaż przez chwilę, bo nie wierzył w żadne bajki o Nibelungach. Tym bardziej dziwił się niezachwianej pewności, jaką okazywał jego towarzysz podróży. Fritz czuł to niedowierzanie i zasypywał go argumentami. W ciągu ostatnich lat, każdą wolną chwilę spędzał w bibliotekach, badając dzieje swojego wielkiego przodka i pieczołowicie zbierając wszelkie wzmianki o Nibelungach, Złocie Renu i innych staroniemieckich legendach. Wiele opowiadał o mitach i historii, lecz jeszcze więcej czasu poświęcał przyszłości. Przyszłości Europy, bo on, Friedrich Ratschek po wojnie nie czuł się już Niemcem.

Chociaż to raczej Niemcy przestali się czuć podobnymi do Fritza. Nie czuł się też oczywiście Polakiem. Bycie mishlingiem, Ślązakiem, Wasserpolakiem nie było dość dobre dla jego nazwiska i krwi. Dlatego czuł się Europejczykiem. Nie było to jednak nostalgiczne nawiązanie do czasów kulturowej wspólnoty średniowiecza. On patrzył w przyszłość! Był patriotą przyszłej Europy, nie zważającej na historię i przeszłość, nowej, jednej Europy! Cóż tam – narody! Dziewiętnastowieczny przeżytek – zbyt młody, by mieć podporę w tradycji, zbyt stary, by przystawać do wizji, jaką prezentował. W kwestii narodów akurat Jorg mógł się zgodzić z Fritzem – pamiętał, swojego starszaka, pradziada, Wacława Szoltyśka, który pytany o narodowość przez zaangażowane politycznie wnuki, ze zniecierpliwieniem machał tylko ręką, a indagowany natarczywie obił nawet łaską dorosłego ujka Ywalda.

Ratschek był przekonany, że pierścień ukryty jest w piwnicach przyszwickiego pałacu hrabiów von Raczek. Sądził również, że razem z pierścieniem ukryto kilka tajemniczych skrzyń, o jakich wspominały archiwalia. Miały one zawierać ogromny skarb.

Po powrocie z Hiszpanii, jeździli po całej RFN, załatwiając różne, niezrozumiałe dla Jorga sprawy. Fritz twierdził, że musi zorganizować przerzut owych skrzyń ze skarbem przez Czechosłowację do RFN.

W domu Ratschka zmienili samochód na duże volvo kombi, oraz paszporty na szwajcarskie. Oba miały wbite ważne wizy PRL. Samochód był zarejestrowany w Szwajcarii. Po dwóch tygodniach wjechali ponownie do Polski. Jorg nie wrócił jednak do swojej prawdziwej tożsamości. Przeciwnie, otrzymał sztuczną brodę i perukę, aby przez głupi zbieg okoliczności nie zostać zdekonspirowanym. Uzgodnili, że rozmawiać będą wyłącznie po

niemiecku. Fritz wręczył Jorgowi listę dziesięciu nazwisk z adresami i atlas samochodowy. Dnie spędzali w hotelach, w nocy odwiedzali kamratów z Waffen SS. Trzech udało się przekonać. Od Koniecznego, z Opola, pojechali na Podhale. Jorg zastanawiał się, któż taki, z im podobnych, mógłby tam mieszkać. Fritz go oświecił – nikt. Na Podhalu mieszkał Janek Chalbeda, żołnierz „Ognia”, antykomunistycznego partyzanta. Chalbeda uniknął dekonspiracji, jednak został sam, bez możliwości działania. Postanowił więc ukryć w dobrym miejscu, zakonserwować i doglądać niemałego arsenału. Fritz i Jorg dotarli do niego późnym wieczorem. Ratschek zabronił Jorgowi się odzywać, a kiedy przywitał się z górale, Szołtysek zrozumiał dlaczego.

– Witam. Szanowny panie, przybywam tutaj z Londynu, moja szwajcarska tożsamość jest fałszywa. Jestem delegatem prezydenta Ostrowskiego na kraj – powiedział Ratschek najczystsza polszczyzną, z arystokratycznym „I”.

Oczywiście, góral nie był idiotą. Pokiwał głową, wyjął spod serdaka visa, wycelował we Fritza, nakazał podnieść ręce do góry i uprzejmie zaprosił do chaty. Syn Chalbedy schował volvo do stodoły. Góral był przekonany, że ma do czynienia z prowokatorem SB. Fritz liczył się z takim rozwojem wypadków. Spokojnie siadł za stołem i zaczął mówić. Po dwudziestu minutach opowieści góral schował pistolet, po pół godzinie przeprosił, po godzinie otworzył tajny schowek pod podłogą. Góral utrzymywał luźny kontakt z emigracyjnymi środowiskami w Londynie przez kuzyna, który przed wojną wyjechał do USA. Ratschek powołał się na tę znajomość, by przedstawić dokładnie swoje miejsce w emigracyjnej hierarchii i swoje zamiary. Chalbeda uwierzył bez zastrzeżeń.

Nieco później Fritz i Jorg wyjeżdżali z podhalańskiej Łopusznej. W bagażniku ich samochodu, pod fałszywym dnem spoczywały trzy niemieckie pistolety maszynowe MP-40, jedna radziecka pepesza, trzy pistolety (parabelka, walther z tłumikiem i polski, przedwojenny vis) i spora skrzynka amunicji.

Nad ranem dojechali do Pilchowic. Broń zakonserwowali, zalali olejem i w szczelnej skrzyni zakopali w lesie. Zanim we wsi ktokolwiek się obudził, byli w domu Jorga. Szwajcar Heinrich Bóhm z powrotem stał się ob. Szołtykiem Jerzym, zamieszkałym przy ulicy Engelsa 8, Pilchowice, czterdzieści cztery sto czterdzieści pięć.

Do Towarzysza Majora Kopczyka Antoniego,

Szanowny Towarzyszu, ja, jako lojalny obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej czuję się we własnym socjalistycznym sumieniu zobowiązany donieść, iż było u mnie, jako byłego, przymusem wcielonego, żołnierza faszystowskich wojsk, dwóch osobników, podających się za Szwajcarów, przybyłych też samochodem marki Volvo, ze szwajcarskimi tablicami rejestracyjnymi Numeru nie zdołałem zanotować, za co Towarzysza przepraszam bardzo. Osobnicy owi stwierdzili, iż są dwoma żołnierzami SS i do mnie, jako swojego kompana, mają prośbę. Mówili przy tym po polsku. Miałem z nimi udać się na Śląsk, aby tam dokonać wydobycia jakiegoś cennego przedmiotu, tudzież uczestniczyć w akcji sabotażu przeciwko naszej Ludowej Ojczyźnie. Niniejszym deklaram, jako lojalny obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wszelką pomoc w ujęciu wyżej wymienionych bandytów, którzy jednak się z imienia i nazwiska nie przedstawili.

*Z poważaniem,
ob. Dracz Michał*

Dracz wstał od stołu, złożył kartkę, wsunął do kieszeni marynarki, i ruszył doręczyć ją na SB. Stanął na chwilę w drzwiach... Kartka paliła mu kieszeń, nie da się ukryć. Spojrzał na swoje powykęcane palce i przypomniał sobie obóz w Jaworznie, w którym zmasakrowano

mu dłonie. I inne części ciała. Zdecydowanym krokiem ruszył na komendę milicji, w której mieściła się siedziba SB. Lepiej być donosicielem, zdecydowanie lepiej.

Porucznik Miłczyk wyszedł z roboczego spotkania z towarzyszem majorem Ziemką. Pobrał z magazynu broń i kluczyki do służbowego dużego fiata. Trasa z siedziby SB przy ulicy Powstańców w Katowicach do Przyszowic zabrała mu czterdzieści minut. Zaparkował pod kościołem i postanowił przespacerować się do pobliskiego zameczku.

– Słuchajcie, Miłczyk. Te ich, kurwa, paszporty są pewnie prawdziwe, więc musimy ich chwycić na gorącym uczynku. I róbcie to, kurwa, po cichu, bo nam to mogą w każdej chwili sprzątnąć. Więc nie spuszczać zamku z oka, byle po cichu i z daleka. To grubsza sprawa, i jeżeli damy sobie radę bez Warszawy to cała zasługa nam przypadnie. Zrozumieście mnie dobrze, Miłczyk, kurwa?

– Tak jest, towarzyszu majorze – odpowiedział Miłczyk i w duchu dodał „kurwa”.

Odłożył słuchawkę i pomyślał, że zasługa to przypadnie Ziemce, a on musi odwalać czarną robotę. No cóż, taki zawód. Może liczyć tylko na wsparcie rejonowej komendy MO.

Wszystko było umówione, zorganizowane i zapięte na ostatni guzik. Kostenko i Lompa już czekali, ukryci w niewielkim parku, otaczającym eklektyczny pałacyk von Raczków w Przyszowicach, służący teraz za przedszkole. Między drzewami zaparkowali nyskę. Kilkanaście minut po północy na parking przy przyszowickim kościele, oddalonym od pałacu o sto metrów, zajęchało powoli volvo, ze zgaszonymi światłami. Jeszcze w samochodzie Fritz wyciągnął krótkofalówkę. Użył przycisku do nadawania alfabetem Morse’a i wysłał trzy krótkie sygnały.

– Alles ist vorbereitet! – odpowiedział mu ściszony głos Lompy.

– Aufsteigen – Ratschek wydał równie cichą komendę.

Wysiedli z samochodu. Broń i narzędzia niedbale ukryli pod marynarkami i spokojnym krokiem pomaszerowali do pałacu. W innej sytuacji Jorg może zastanawiałby się – po co im pistolety maszynowe? Ale jego umysł przestawił się ponownie na wykonywanie komend. Od myślenia był oficer. On zaś miał analizować sytuację, meldować i wykonywać rozkazy. Przeszli przez szosę, minęli pawilon handlowy i po dwóch minutach znaleźli się naprzeciwko pałacu. Wieś była jak wymarła. Ratschek z kieszeni kurtki wyciągnął czarną kominiarkę i naciągnął ją na twarz. Jorg uczynił to samo. Fritz spojrzął na krawędź dachu, rysującą się na tle jasnego nieba. Nad wejściowymi drzwiami ciągle dumnie tkwił herb von Raczków – Warnia, rak. Fritz urodził się i wychował w Gliwicach, ale bywał tutaj w odwiedzinach u krewnych, którzy mieszkali w pałacu przed wojną. A teraz Polacy zrobili tutaj przedszkole...

Dość refleksji, do dzieła!

Podeszli pod drzwi. Ratschek, ku zdziwieniu Jorga, wyciągnął wytrych i w ciągu kilkunastu sekund otworzył drzwi. Weszli do środka. Fritz dwukrotnie nacisnął guzik krótkofalówki – „OK”. Ratschek miał plany pałacu, ale w środku wewnątrz zostało przebudowane. Prawie na oślep, przyświecając sobie tylko słabą latareczką, ruszyli szukać wejścia do piwnic. Po paru minutach znaleźli! Krótkofalówka – „OK”. Drzwi były zamknięte, Fritz wyjął ponownie wytrych. Jorg wyciągnął pistolet z tłumikiem i przeladował, delikatnie

prowadząc zamek palcami, żeby nie szczęknął zbyt głośno. Wytrych zgrzytnął i kolejne drzwi stanęły otworem. Zeszli po schodach.

Piwnica była zagracona – śmieci, szczątki starych mebli, okna, szyby, jakiś złom, wszystko to wypełniało pomieszczenia, zostawiając niewiele miejsca do przejścia. Przepisnęli się między rupieciami do klitki znajdującej się dokładnie pod południowo-wschodnim narożnikiem pałacu. Krótkofalówka – dwa naciśnięcia, „OK”. Fritz dla pewności spojrzął na busolę, przypiętą na przedramieniu. Wyjął z kieszeni stetoskop i geologiczny młotek i zaczął opukiwać północną ścianę, przycisnąwszy do muru końcówkę stetoskopu. Jest! Zapalił mocną latarkę i położył ją tak, by oświetlała ścianę. Oczyściwszy stary tynk szczotką, odnalazł szczelinę. Wcisnął w nią grot śrubokrętu i podważył – ukryte drzwi ustąpiły lekko i otwały się z szelestem. Udało się!

Na środku niewielkiego pomieszczenia, na rokokowym fotelu o pięknych poręczach, siedział starzec. Zgarbiony, z głową opuszczoną na pierś, spał. Długie siwe włosy spływając na ramiona, łączyły się z brodą, szarą zasłoną przykrywając pierś. Dłonie opierał na szabli. Fritz i Jorg stanęli, zdziwieni i skonfundowani. Starzec westchnął ciężko i z wysiłkiem podniósł głowę.

– Was noch, Schweinebande!?! Hier gibt es kein gold! – zapytał charczącym głosem.

Nie umieli wydobyć z siebie głosu. Starzec sapnął i sięgnął za pazuchę, wydobywając staroświecki, skałkowy pistolet. Jorg zareagował odruchowo – wytłumiony walther psyknął dwukrotnie, nie głośniejszy niż lufbiksa na wróble. Oba pociski trafiły w głowę – bezwładne ciało zwisło na fotelu. Fritz wzruszył ramionami i ściągnął trupowi z palca pierścień Nibelungów. Jorg był przekonany że śni. Zanim Rastchek zdążył zastanowić się, co ze skarbem, odezwał się głośniczek krótkofalówki:

– Achtung!, Feindel Vier Wagen! – zameldował Lompa, jakby ciągle byli w Rosji, i chodziło o sowieckie czołgi, nie zaś o cztery milicyjne radiowozy.

Dwaj włamywacze zamknęli za sobą tajne drzwi, rzucili się po schodach na górę i przypadli do okien. Rastchek zajął pozycję przy głównym wejściu i ruchem głowy wskazał Jorgowi drugą stronę pałacu. Ośmiu ludzi, w tym sześciu umundurowanych milicjantów. Uzbrojeni tylko w pistolety. Fritz uśmiechnął się do siebie. Jednak zastrzeli jeszcze w życiu kilku komunistów. Mimo wszystko – to miłe.

– Milicja! Wychodzić z rękami do góry albo będziemy strzelać! – krzyknął porucznik Miłczyk i zginął od pierwszej kuli.

Milicjanci rzucili się za samochody, kuląc się ze strachu. Nigdy nikt do nich nie strzelał. Lecz tam czekali już Lompa i Kostenko z automatami...

Z drugiej strony pałacu trzech funkcjonariuszy zajęło pozycje za wielkimi kubłami na śmieci. Jeden z nich dramatycznie wrzeszczał do swoich kolegów na placu, nie wiedząc, że ci są już martwi:

– Wezwijcie posiłki, kurwa, wezwijcie posiłki! Niech wojsko tu przyjedzie, kurwa!

Jorg przypomniał sobie etapy skrytego podchodzenia i likwidacji, które ćwiczyli trzydzieści lat wcześniej, u Otto Skorzenego, następnie wprowadził je w życie. Przez boczne okno wyslizgnął się z pałacu, przeczołgał kawałek, ukryty w cieniu, wpełzł między drzewa, szerokim łukiem okrążył pozycję milicjantów. Ten od wzywania posiłków powtarzał jak mantrę – ”kurwa, kurwa, kurwa, kurwa...”. Pozostali dwaj usiłowali zerkać na pałac, w którym Jorga dawno już nie było. Podczołgał się do miejsca za betonową latarnią, przykleknął, oparł lewy łokieć o kolano – i trzykrotnie strzelił. Trafił wszystkich, podniósł się szybko, podbiegł kilka kroków i ponownie posłał milicjantom trzy kule. „Punkt szósty: sprawdzić broń, przeładować, zająć pozycję defensywną, czekać na rozkazy”. Zmienił magazynek, przykleknął za śmietnikiem i szepnął do krótkofalówki.

– Klar.

– Klar – odpowiedział Lompa.

– Der „B” Plan – mruknął do radia Ratschek.

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa! – ryczał do słuchawki major Włodzimierz Ziemka. – Co to jest, kurwa w dupę jebana mać, Ameryka? Trzecia, kurwa mać, wojna światowa? Co to jest?

Właśnie złożono mu raport, na który, piekląc się, czekał od kwadransa. Ośmiu funkcjonariuszy zabitych w Przyszowicach, broń automatyczna, kaliber 9 milimetrów. Następnych czterech – w blokadzie na ulicy Pszczyńskiej w Gliwicach. Ziemka właśnie wysłuchał zeznania jednego z milicjantów: „Jechali, towarzyszu, jak diabeł sam, no, Jezusie Nazareński, towarzyszu, jechał na pełnym gazie, wytlukli, kurwa, przednią szybę, i ten drugi walił seriami przez tę szybę wytłuczoną, jak przypierdolili w naszego fiata, to przeszli. Myśmy strzelali, ale chyba nie trafiliśmy, bo szybko jechali. A jak uciekali, to ten chuj otworzył tylne drzwi, i, kurwa, zastrzelił jeszcze Witka, towarzyszu!”

Cały ślad po bandytach to dwa spalone samochody: volvo na szwajcarskich numerach w Przyszowicach i nyska. Zaparkowana na ul. Zimnej Wody w Gliwicach, wrzucili do środka granat, na ulicy wypadła połowa szyb.

– Co mnie, kurwa, obchodzą w dupę jebane szyby! – wrzeszczał major Ziemka.

Cila niczego nie podejrzewała. Jorgowi zdawało się, że gdyby wrócił zakrwawiony, na bifyju położył karabin i głowę milicjanta, to Cili i tak do głowy nie przyszłoby, że jej Jorg może mieć coś wspólnego ze strzelaniną. Minęły już cztery dni. W telewizji ani słowa, mała notka w „Trybunie”, coś sąsiedzi gadali o napadzie w Przyszowicach. Nic wielkiego!

Piątego dnia wyznaczili sobie spotkanie z Ratschkiem, nad Bierawką. Jorg był jeszcze na chorobowym, siedział w domu i oglądał telewizję, ciągle myśląc o ostatnich wydarzeniach. Wieczorem już w sypialni, usłyszał delikatne stuknięcia w szybę. Jego kamrat, Francik, w taki sposób wyciągał go czasem na ogród, gdy chcieli posiedzieć razem w milczeniu, napić się piwa, albo herbaty z termosu i cieszyć się letnią nocą. „Czemu nie” – pomyślał Jorg i, włożywszy szlafrok, wyszedł na dwór. Francik stał tam, jak zwykle. Jednak...

– Suche, bo yno roz powiym. Fritz Ratschek robi dło komunistów. Niymieckich. Jest agyntym Stasi. Tu mosz dowody. – Podał Jorgowi szarą kopertę.

Szołtyska zamurowało. Z jednej strony, to wiele tłumaczyło... Ale Francik!

– Skónd ty... – zdołał tylko z siebie wydusić Jorg.

– Gehlen Organization – opowiedział krótko przyjaciel.

Ha! Siatka niemieckich szpiegów, zorganizowana w krajach za żelazną kurtyną, zaraz po zakończeniu wojny, przez niemieckich speców z Abwehry. Dla CIA, oczywiście... Fritz nawet coś o nich wspominał, i Jorg podejrzewał, że dawny kolega może mieć z nimi coś wspólnego. Oczy i uszy Amerykanów w Europie Wschodniej...

– Od Leona Degrelle przisła pilno przesyłka do nos. Łón go odkrył, jak szukoł po swoich papiórach. Łod niego sóm te fotografije. Łobejrz se. I drugo rzecz – nigdy wincyj w życiu ni bydymy godać o tym. Rozumisz? O fusbalu, gołymbiach, babach, polityce, grubie – ja, ale niy o tym. Rozumisz? – wyjaśnił zdziwionemu Szoltyskowi Francik.

– Ja.

– No to patrz tam jako. Pyrsk.

Francik odszedł, wsadziwszy ręce w kieszenie. A Jorg usiadł w kuchni, i obejrzał zdjęcia.

– Deine name? Imię? Kak tiebia zawut? – zapytał beznamiętnym głosem SS-Hauptsturmführer Ratschek przerażoną Rosjankę.

Nie odpowiedziała. Esesman podniósł pistolet i strzelił jej w środek czoła. Przeszedł krok w prawo, do kolejnej w szeregu. Dalej stało jeszcze dwadzieścia kobiet.

– Kak tiebia zawut? – zapytał i uśmiechnął się do dziewczyny.

Nim zdążyła odpowiedzieć, strzelił jej w brzuch, gdy upadła, dobił.

Gefreiter Werner Grossman, z Wehrmacht Propagandenkompanie stał sparaliżowany z przerażenia. Po chwili udało mu się przezwyciężyć strach, i zareagował jak przystało na dziennikarza (ach, gdzież uleciały te wspaniałe czasy, w których fotografował piękne kobiety dla ilustrowanych pism!). Uniósł do oczu leicę i zaczął fotografować, robiąc jedno zdjęcie za drugim. „Jeszcze trzy, jeszcze dwa, czekaj, musisz mieć gębę tego drania” – myślał. Wreszcie, po którymś z kolei odgłosie strzału i trzasku migawki esesman obrócił się do tyłu i gefreiter zrobił mu zdjęcie.

– Halt, du Schweine! – ryknął Ratschek.

Lecz Grossman potrafił szybko biegać, to bardzo przydatne w zawodzie dziennikarza. I uciekł, mimo że esesman strzelał do niego. I gefreiter Werner Grossman do końca życia, patrząc na swoją gębę w lustrze, przekonywał się, że Bóg nie stworzył go żołnierzem, Bóg uczynił go reporterem. Dlatego tylko zrobił zdjęcia.

Do zdjęć dołączony był krótki, odszyfrowany list Degrella. „Ten tchórz nie potrafił wziąć na siebie odpowiedzialności za rozstrzelanie paru komunistek, gdy już obrósł w tłuszcz i pieniądze. Stasi odnalazła zdjęcia w jakimś archiwum i zaszantażowali go ich ujawnieniem. Bał się stracić swoją pozycję, dlatego zgodził się z nimi współpracować”.

Warci siebie obaj, psiakrew! Jorg Szołtysek wiedział już co ma zrobić. Broni, użytej w akcji pozbyli się od razu, ale miał przecież w piwnicy parabelkę. Wziął pistolet ze sobą i poszedł na spotkanie z Fritzem, do lasu.

Spotkali się na niewielkiej polance, nad Bierawką. Jorg przyszedł wcześniej i czekał już na Ratschka. Kiedy ten przyszedł wreszcie, Szołtysek zaczął bez ogródek.

– Tyś jest ze Stasi, ty pierdnie – powiedział, celując w swojego byłego przyjaciela.

Fritz wiedział, że Jorg trafi go w czoło z dziesięciu kroków. Nie chybi, nigdy nie pudłował w takich sytuacjach. Nie wykonał więc żadnego gwałtowanego ruchu. Czekał.

– Te Stasi mie nic niy obchodzi. Poszołbyś w pieróny. Ale pamiyntosz te ruskie dziółchy, na wiosna, w czterdziestym czwartym? Te, coś mi pedzioł, że je bolszewiki pozbiyały? Tyś je, giździe jedyn, sóm zastrzelił.

A więc o to chodzi...

– Jorguś, opamiyntej sie. Przeca wiysz, że jak łune już roz były u nos, to Rusy by je i tak pozbijali, zaroz jak by je chycili. Dyć wiedzioł żeś co łuni robiyli z naszymi jyńcami?

– Ja, wiedzioł żech. I ty se myślisz, pierdnie, że to styknie?

Fritz zamilkł.

– Meine Ehre heisst Treue – powiedział Jorg i strzelił.

Ciało Friedricha Ratschka obciążył kamieniami, i wrzucił do rzeki. Wcześniej zdjął mu z palca pierścień Nibelungów. Przyjrzał mu się chwilę w świetle księżyca, by po chwili cisnąć go z rozmachem do wody. Ratschek nie wypowiedział jeszcze żadnego żądania – to zarezerwowali dla siebie jego preceptorzy.

W kilka miesięcy później Jorg wraz z rodziną zasiadł przy wigilijnym stole. Gdy po konopiotce przyszła kolej na karpia i wszyscy w milczeniu pałaszowali rybę, Jorg nagle

zakrzuszył się lekko i, wbrew tradycji, wstał od świątecznego stołu. Cila trochę się zaniepokoiła, zwłaszcza że Jorg w tym roku nie był przed świętami u spowiedzi. Tak sądziła – w rzeczywistości Jorg poszedł i uczciwie wyznał wszystko księdzu, który odmówił udzielenia mu rozgrzeszenia. Jednak tajemnicę spowiedzi ksiądz traktował poważnie.

Jorg wyszedł do sieni i wypluł na dłoń niewielki, twardy przedmiot, który znajdował się w mięsie jego karpia. Na dłoni Jorga spoczywał pierścień. Nie chcąc niepokoić rodziny, schował go do kieszeni i wrócił do wieczerzy. Po pasterce zszedł do piwnicy i schował pierścień Nibelungów w swojej skrytce, razem z parabelką.

Trzydzieści lat później, w wieku osiemdziesięciu lat Jorg Szoltysek zmarł. Rodzina bardzo bolała nad tym, że na starość starzik Jorguś się z Pónbóckim powadzili. Nigdy więcej nie poszedł do spowiedzi. Kiedy, na prośbę rodziny, do umierającego sprowadzono księdza z ostatnimi sakramentami, Jorg odwrócił się do ściany. Pogrzeb był z tego powodu niezwykle cichy.

Dzieci Jorga dawno wyprowadziły się do miasta, starka Cila nie żyła od sześciu lat, nikt więc nie potrzebował domu przy ulicy Pojednania (dawniej Engelsa) 8. Kupił go koncern, który zamierzał wybudować w Pilchowicach magazyn dla okolicznych hipermarketów. Wyburzono dom Jorga i przygotowano beton do zalania fundamentów.

Którejś nocy Szoltysek odnalazł wreszcie drogę z przykościelnego cmentarza do ruin swojego domu. Wślizgnął się do piwnicy, przeszedł do warsztatu, ze schowka wyciągnął pierścień i pistolet. Załadował broń i usiadł na krześle.

Nazajutrz zalano stare piwnice betonem. Zbudowano wielki magazyn, po którym bezustannie kursowało kilkadziesiąt wózków widłowych.

Zaś Jorg Szoltysek siedział na krześle z gotowym do strzału pistoletem w dłoni i czekał.